

NIEODROBIONA LEKCJA WRZEŚNIA '39

SILNI

ZWARCI

GOTOWI

Jesienne Targi Książki

8-10 września 2023

plac Defilad przed Kinoteką,
od strony Al. Jerozolimskich



historiaikultura.pl

organizator
FUNDACJA
HISTORIA I KULTURA

Prezydent
miasta stołecznego
Warszawy



POLSKA
IZBA
KSIĄZKI

STO LAT!
1918-2018

SBP

slp

KOPD

patronat honorowy

patronat medialny

RMF
CLASSIC

Rynek-Książki.pl

książki

wydawca.com.pl

WCP8



Odrobiona lekcja z Września '39?

Zbrojna napaść Rosji na Ukrainę zwiększyła zagrożenie wybuchem wojny z naszym udziałem. Ciągłe słychać rozmowy Polaków zaniepokojonych rozwojem wydarzeń, a podnoszony jest w nich wątek Września 1939 r. Wraca pamięć o przegranej wojnie, jej przyczynach, sojusznikach, sanacyjnych władzach. Odniesienia do tego momentu w historii nie dziwią, bo można znaleźć wiele analogii. A raczej przestróg.

Sanacyjni decydenci lubili parady, pokazywanie się na tle wojska. Mogli wtędy deklarować swoją siłę i stanowczość w działaniu. Wygłaszać patriotyczne wezwania do zwierania szeregów. Dzisiejsi rządzący powielają przedwojenne wzorce. Ich wystąpienia nieodparcie przywodzą na myśl słowa marsz. Rydza-Śmigłego: „Nie oddamy ani guzika”. Padają deklaracje, że „jesteśmy bezpieczni”. To już niemal brzmi jak „silni, zwarci, gotowi”. Z tym bezpieczeństwem bym nie przesadzał (przypominam, że to wyborcze przestanie PiS), bo zaraz na myśl przychodzą zagubione rakiety czy helikoptery znad Białorusi.

Zamiłowanie do defilad i wypinanie piersi, a zarazem chowanie się za plecami innych, milczenie, kiedy standardy cywilizacyjne nakazują zabranie głosu, to przejawy braku odwagi rządzących do stawiania czoła rzeczywistym problemom. Myślę tu choćby o sprawie użycia policyjnego śmigłowca na imprezie z udziałem wiceministra spraw wewnętrznych Macieja Wąsika. Zachowanie

po tym incydencie, jawne tchórzostwo władz utwierdza mnie w przekonaniu, że gdyby rzeczywiście doszło do wojny, obecni władcy Polski pierwsi opuściliby III RP. Jeszcze szybciej niż sanacyjni decydenci.

Sojusze są fundamentalne. II Rzeczpospolitą łączyły one z Francją i Anglią i nie do pomyslenia były jakiegokolwiek wrogie kroki przeciw nim. A jak my zachowujemy się wobec Niemiec, naszego dzisiejszego sojusznika? Dla rządzącej prawicy stały się one wrogiem numer dwa, zaraz po Rosji.

Myślenie o naszej armii rodzi pytanie o zakupy odpowiedniej broni. Czy te zakupy – pomijam już ogromne zadłużanie państwa – są właściwe? PiS przeprowadza je poza kontrolą, z pominięciem opinii znaczących wojskowych, znawców uzbrojenia, a także opozycji.

Przed Wrześniem 1939 r. zbiórki na rzecz polskiego wojska spotkały się z ogromnym odzewem społecznym. Czy gdyby dziś władze ogłosiły taki apel, reakcja Polaków byłaby podobna? Zapewne nie. Nie dlatego, że sprawa polskiej armii nie interesuje naszego społeczeństwa. Przeciwnie, interesuje coraz bardziej, tylko Polacy nie wierzą, że zebrane środki zostałyby należycie spożytkowane.

Słowem, jak to dobrze, że jesteśmy w NATO, bo hamuje ono wojenne zapędy naszych decydentów. I oby robiło to jak najsilniej.



E-BOOKI PRZEGLĄDU

Tylko po 15 zł!
Czeka już 41 tytułów

50% TANIEJ

Czytasz TANIEJ Wiesz WIĘCEJ

KUPUJ NA sklep.tygodnikprzeklad.pl

W NUMERZE

HISTORIA

- 8 Tragiczna niepodległość**
Wrzesień 1939 r.
z perspektywy roku 2023
- 42 Zagrodnik i plenipotent gromadzki**
Legenda Jakuba Szeli

WYBORY 2023

- 14 Jak liczyć, żeby nie policzyć**
Czy PiS utopi 350 tys. głosów Polonii?
- 16 Ze Strajku Kobiet do Sejmu**
– rozmowa z Bożeną Przyłuską

KRAJ

- 20 Armia w budowie**
Ile wydamy na uzbrojenie WP
- 35 Demokratyczne i świeckie państwo**
prawa to moje polityczne credo
– rozmowa z Danutą Waniek
- 54 (Nie)zdrowy seks**
Coraz więcej chorób wenerycznych

ZAGRANICA

- 22 Głos nie taki silny**
Powyborcze dylematy Hiszpanii
- 26 Klimatyczny letarg Ameryki**
Korespondencja z USA
- 30 Narkocentrum świata**
Po captagon do Syrii
- 38 Człowiek chcący tworzyć rzeczywistość**
Kissinger: realista, oportunistą?
- 58 Jest tylko jedno wejście**
i tylko jedno wyjście
Śmierć w wąwozie na Krecie

KOŚCIÓŁ

- 32 Koniec „Kościoła w Kościele”**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA

- 46 Chłopięcy świat**
– rozmowa z Damianem Kosowskim
- 48 Culturalia**
- 66 Dorota Kuźnik (ON)A/S(HE). Malarstwo**

EKOLOGIA

- 50 Gleba przede wszystkim**
– rozmowa z prof. Pauliną Kramarz

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Paweł Dybicz**
Odrobiona lekcja z Września '39?
- 13 Jan Widacki**
Ostatni lot Prigożyna
- 25 Andrzej Romanowski**
O koniokradałach
- 29 Roman Kurkiewicz**
Prigożyn – żywy czy martwy, jeden czort
- 49 Stanisław Filipowicz**
Zachód z pokładu parowca
płynącego po Wiśle
- 53 Tomasz Jastrun**
Nie tylko w Jerozolimie
- 57 Wojciech Kuczok**
Złowieszcz

30

ZAGRANICA



NARKOCENTRUM ŚWIATA

Po captagon do Syrii



46

KULTURA

CHŁOPIĘCY ŚWIAT

– rozmowa z Damianem Kosowskim

50

EKOLOGIA



GLEBA PRZEDĘ WSZYSTKIM

– rozmowa z prof. Pauliną Kramarz

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. NAC



✉️ Lepsi ludzie na trudne czasy

Red. Jerzy Domański pisze w felietonie (PRZEGLĄD 34/2023): „Bez partii nie ma demokracji”. Choć on jest redaktorem naczelnym poczytnego tygodnika, a ja emerytowanym górnikiem, nie mogę się zgodzić z tym poglądem. Uważam, że partie polityczne w społeczeństwie obywatelskim są potrzebne, ale tylko jako ośrodki analityczno-doradcze. U władzy przekształcają się w mafie, obywateli traktują

przedmiotowo, zwłaszcza że obywatele z woli partyjniactwa są ubezwłasnowolnieni. Nie mogą w okręgu drogą referendum cofnąć mandatu wyborczego, a mandatariusz z mandatem na określony czas może w imieniu tego społeczeństwa zaciągać zobowiązania na czas nieokreślony.

Możliwe, że moje rozgoryczenie władzą narasta z wiekiem, ale uważam, że arogancja władzy w połowie rządów Donalda Tuska przewyższyła arogancję PZPR i dalej rośnie w przerażającym tempie. W konstytucji, zaraz na początku, w art. 4 ust. 1 jest zapis: „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu”. Władza zwierzchnia, czyli nadrzędna, najważniejsza. A partyjniactwo pilnuje, byśmy jako społeczeństwo nadal drzemali i nie wyszli z mentalnego feudalizmu, bo ONI straciliby władzę.

Józef Brzozowski, Żory

f Zaolzie, czyli początek katastrofy

Dobrze, że ktoś pisze o sytuacji przed Wrześniem '39, bo nie dalej jak wczoraj słuchałem po raz kolejny o rozbiórce Polski

w 1939 r. Mówiący nazwał go czwartym rozbiorem Polski, zominając najwyraźniej o tym, że czwarty rozbiór jemu podobni myśliciele przypisali powstaniu Królestwa Polskiego. Pomijam już różnice między rozbiorem państwowości unijnej a rozbiorem jednego państwa, nierozróżniającego odrębności bytów. Polacy mają z tym problem, którego najwyraźniej nie są w stanie przepracować, czy to z przyczyn intelektualnych, czy z jakichś innych dotyczących naszych charakterów.

Trzeba chyba pogodzić się z tym, że ludzie piszący historię na nowo mają problem z policzeniem na palcach jednej ręki. Ale mimo ich niezbyt lotnych matematycznie umysłów trzeba im przypominać o rozbiórce Czech i wcześniejszym rozbiórce wyodrębniającej się Ukrainy.

Michał Błaszczak

f Skąd się wzięła Solidarność?

Andrzej Celiński mówi, że Solidarność wydobyła z ludzi to, co było szlachetne i czyste. To stąd te hasła: „Zamiast liści będą wisieć komuniści”? Zapewne też tym fenomenem była obudzona zawzięć oraz pęd do zdobycia jak największej ilości szmalu kosztem innych szlachetnych i czystych ludzi. Niestety, wszyscy wiemy, jak się skończyła ta historia dla ludzi i dla Polski.

Michał Czarnowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Rybko, nie tak szybko! Skrzynka z przynętą przywabiła rekina tygrysięgo. Tiger Beach, Bahamy, 23 sierpnia 2023 r.

W niewiarygodnym tempie **produkuje się w Polsce** akty prawne. Tylko w pierwszym półroczu 2023 r. opublikowano **805 ustaw**, rozporządzeń i umów międzynarodowych. Trzeba było na nie aż 19 576 stron maszynopisu. To o **134%** więcej niż dwa lata wcześniej. O jakości tego prawa trudno mówić bez zgrzytania zębami.

Kobiety żyją w Polsce średnio **ponad 81 lat**, czyli siedem lat dłużej niż **mężczyźni**, których średnia wieku to **prawie 74 lata** („Rzeczpospolita”).

Sierpień, mimo zachęt Kościoła katolickiego, nie wpłynął na zmianę fatalnych obyczajów **spożywania alkoholu**. Gdy w 2002 r. sprzedaż roczna wynosiła **6 litrów czystego alkoholu** na mieszkańca Polski, to w 2022 r. znacznie powyżej 10 litrów.

Zniszczony policyjny **helikopter Black Hawk** i zagrożone życie uczestników pikniku w **Sarnowej Górze** – tak się skończyła impreza „uatrakcyjniona” przez nadzorującego policję **wiceministra Macieja Wąsika**, który załatwił udział śmigłowca. I tak w realu wygląda program PiS na wybory „Bezpieczna przyszłość Polaków”.

Wicepremier Jacek Sasin i **minister sportu Kamil Bortniczuk**, organizatorzy kompletnie nieudanych, a bardzo kosztowych **Igrzysk Europejskich 2023**, nie rozliczyli się z ponad setką firm, które pracowały przy tej imprezie. Była specustawa rządu, ale pieniędzy nie ma.

89,5 tys. studentów zagranicznych ze 180 krajów uczyło się w Polsce w poprzednim roku akademickim. Prawie **40 tys.** to studenci z Ukrainy.

Ponad **563 mln zł (netto)** wydał **Orlen w 2022 r.** na reklamę, marketing, doradców i usługi prawne. To wzrost w ciągu roku o **127,4 mln zł**.

27 tys. firm budowlanych zawiesiło działalność w pierwszym półroczu 2023 r. z powodu wysokich kosztów zatrudnienia i kosztów materiałów.

Rekordowe zarobki mieli w 2022 r. **członkowie zarządu PZU**. **Małgorzata Sadurska**, była szefowa kancelarii prezydenta Dudy, zarobiła **2,36 mln zł**, **Beata Kozłowska-Chyła** – **2,008 mln zł**, a **Ernest Bejda**, były szef CBA – **1,937 mln zł**. Kosmiczna kasa za brak kompetencji do pełnienia tych funkcji.

1814 prywatnych śmigłowców i samolotów jest już zarejestrowanych w Polsce.

Abp Sławoj Leszek Głódź nie jest już **sołtysem we wsi Piaski** w gminie Jaświły na Podlasiu. Został członkiem rady sołeckiej.

W 2022 r. działało w Polsce **91,7 tys. lokali gastronomicznych**, z czego **13,5 tys.** było zadłużonych. W Warszawie długi ma 1767 lokali, na łączną kwotę **54,5 mln zł**.

Ponad **350 tys.** osób choruje w Polsce na chorobę **Alzheimera**.

PRZEBŁYSKI

Pod parasolem Lichockiej

Skandalistka z PiS, która gestem z palcem zapisała się w czarnej księdze polskiego parlamentaryzmu, pisuje do organu Macierewicza. Pasuje tam jak ulał. Zaciekawili nas jej tekst „Mnóstwo spraw do wyświetlenia” („Gazeta Polska”) o badaniu wpływów rosyjskich w Polsce. I artykuł Piotra Żytnickiego „Moralność rządowej dziennikarki” w „Gazecie Wyborczej” o Ewie Bąkowskiej z Polskiej Agencji Prasowej. Pracownica PAP groziła psycholożce, która tropi oszustki z branży kosmetycznej: „Ja panią załatwię”. Skąd te groźby? Ano córca pani redaktor Bąkowskiej ma na sumieniu takie grzechy. Sprawa jest ewidentna. PAP powinna mieć o jedną pracownicę mniej. Ale Bąkowskiej nic nie grozi. Prezes Surmacz jest za krótki. Za Bąkowską stoi nie kto inny jak posłanka Lichocka.

Tak sobie myślimy, że najwyższy czas na komisję badającą wpływy Lichockiej w mediach.

Ekipa herbu Chwytne Łapy

Skąd ich biorą? Z kapelusza. Co nowa ekipa, to nowi prezesi, dyrektorzy, ważni funkcjonariusze. Coraz marniejsi. Do władzy dorwała się ekipa herbu Chwytne Łapy. Tylko to potrafią. W tym nie brakuje im pomysłowości. Młodzi mogą myśleć, że w Polsce zawsze tak było. No to ich zaskoczmy.

Po wojnie w aparacie państwowym pracowało wielu przedwojennych urzędników. Do Polski wróciła połowa ostatniego rządu sanacyjnego. Wicepremier Kwiatkowski był Delegatem Rządu ds. Wybrzeża. Prof. Wojciech Świętosławski, minister oświaty i przyjaciel Mościckiego, współtworzył Polską Akademię Nauk. Minister rolnictwa Juliusz Poniatowski doradzał w PRL w tymże resorcie. Jarema Maciszewski, syn wybitnego legionisty i wiceministra oświaty, pełnił ważne funkcje w PRL. Pełna lista miałaby objętość książki. Dziś ci ludzie nie mieliby żadnych szans na karierę.



Krucjata Kowalczyka

Sierpień, choć miał być miesiącem trzeźwości, nie wpłynął na zmianę obyczajów Polaków. Bezwstydnie gorzałkowano, za nic mając apele bp. Bronakowskiego z Apostolstwa Trzeźwości. Nie zadziałało też dosypywanie przez Morawieckiego kasy na promocję abstynencji. 30 mln nie pomogło, bo za budową Centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka stoi wyjątkowy nieudacznik, ekswiceminister i eksminister rolnictwa.

Henryk Kowalczyk, kiler polskiej wsi, jest działaczem i moderatorem Ruchu Światło-Życie w diecezji płockiej. Stoi także za budową Centrum Krucjaty w Krościenku nad Dunajcem. Na razie kasy wystarczyło na uroczyste poświęcenie budowy. Oczywiście z udziałem Kowalczyka. I biskupim kropidłem. Towarzystwo mile spędziło czas w pięknej okolicy nad Dunajcem.





PYTANIE TYGODNIA

Czego nie uczy polska szkoła?

MACIEJ SOKÓŁ,

aktywista inicjatywy Wolna Szkoła, rodzic

Nie przygotowuje do kontaktu z rynkiem pracy. Niewiele mówi się o tym, co po szkole można robić, i w tym sensie słabo przygotowuje ona do dorosłego życia. Polska szkoła nie uczy też bycia z innymi ludźmi, wchodzenia w relacje, współpracy, komunikowania się. Ten element edukacji psychospołecznej leży. Psycholog w szkole jest wykorzystywany tylko w sytuacjach kryzysowych, nigdy w kontekście edukacyjnym. Polska szkoła nie nadąża także za współczesnością. Brakuje m.in. wiedzy o kryzysie klimatycznym i jego długofalowych skutkach, a przede wszystkim nikt nie pokazuje dzieciom, jak manipuluje się dziś informacjami dzięki mediom społecznościowym.

ANNA SZULC,

nauczycielka, autorka książki „Nowa szkoła”

Zacznę przewrotnie – szkoła uczy przede wszystkim odtwarzania. Najczęściej wiedzy, którą można dzisiaj znaleźć w każdym smartfonie. Tym, co mnie niepokoi, jest fakt, że szkoła nie uczy kreatywności, dokonywania wyborów i odpowiedzialności za nie. Problem dotyczy nas wszystkich, bo ci młodzi ludzie niedługo będą kreatorami naszej rzeczywistości. W konsekwencji wszyscy poniesiemy koszty takiego kształcenia. Szkoła nie uczy też komunikacji. Konsekwencje już widać – ludzie siedzący obok siebie nie rozmawiają ze sobą, patrzą w swoje telefony. To i cele,

jakie wyznacza szkoła, czyli wynik, wysoka pozycja w rankingu i potrzeba bycia lepszym od innych, nie uczą współtworzenia i współpracy, a to jest podstawą rozwoju współczesnego społeczeństwa. Szkoła nie uczy również szacunku do drugiego człowieka, tego, że każdy jest wyjątkowy i ma unikatowe zdolności. Godność należy się każdemu, niezależnie od tego, czy jest profesorem, fryzjerem czy mechanikiem samochodowym.

JAKUB SOKOŁOWSKI,

uczeń szkoły średniej

Polska szkoła nie uczy demokracji. Stosunki w niej panujące są odbiciem stosunków na linii dyktatorska władza-obywatel. Uczniom narzuca się poglądy i wymusza posłuszeństwo. Tym samym szkoła nie uczy odpowiedzialnej postawy obywatelskiej i dbałości o dobro społeczeństwa. Wycisza się uczniów walczących o swoje prawa i udzielających się w życiu szkoły. Takie działania mogą prowadzić do manipulowania obywatelami, którzy nie będą wiedzieć, że mogą egzekwować swoje prawa. Szkoła nie uczy też akceptacji i szacunku dla innych, zwalczając wszelkie przejawy oryginalności wśród osób, które wyrażają siebie w sposób nie naruszający dobra innych ludzi. Jeśli mówimy o przedmiotach, to nie uczy się rzeczy przydatnych w życiu. Znam budowę pantofelka, ale nie wiem, jakie prawa przysługują mi jako osobie pracującej na umowę-zlecenie.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Tragiczna niepodległość

Wrzesień 1939 r. widziany z perspektywy roku 2023

Paweł Sergiejczyk

Rocznica Września 1939 r. to jedna z okazji, by utrwać w umysłach rodaków mit o wyjątkowej roli Polski w najnowszych dziejach świata. Fakt, że pierwszym starciem zbrojnym II wojny światowej w Europie był najazd niemiecki na Polskę, podkreślany jest w naszej edukacji i propagandzie historycznej tak mocno, jakby stanowił powód do dumy i chwały, a nie jeden z najsmutniejszych momentów polskich dziejów. Dumni mamy być z tego, że „jako pierwsi stawiliśmy opór Hitlerowi”, co oczywiście jest prawdą, jednak w praktyce uniemożliwia racjonalną dyskusję nad przyczynami upadku państwa polskiego w ciągu zaledwie kilku tygodni.

A warto prowadzić taką dyskusję, bo od kilkunastu lat, w warunkach dominacji środowisk prawicowych, dostajemy dwa rodzaje „prawdy” o Wrześniu. Jedna, w wersji soft, mówi o tym, że to nie 1 września 1939 r. rozstrzygnęły się losy II Rzeczypospolitej, lecz wtedy, gdy Stalin postanowił skonsumować ustalenia paktu Ribbentrop-Mołotow. W takiej wersji – lansowanej przez Instytut Pamięci Narodowej i obecne władze państwowe – to daty 23 sierpnia i 17 września stają się kluczowe dla uczczenia „bohaterskiej Polski jako niewinnej ofiary spisku dwóch totalitaryzmów”.

Ale jest jeszcze inna narracja, w wersji hard, popularna głównie w środowiskach usytuowanych na prawo od IPN i PiS. Jej twórcą był zmarły w 2009 r. bardzo „medialny” historyk, prof. Paweł Wiczorkiewicz, który głosił, że II Rzeczpospolitą mógł uratować tylko sojusz z III Rzeszą, a wspólny, niemiecko-polski zwycięski marsz na Moskwę odmieniłby losy świata i naszego kraju: po upadku ZSRR Polska stałaby się co prawda częścią „niemieckiej Europy”, ale jako

ważny sojusznik Berlina, zarządzający np. Ukrainą, byłaby więc lokalnym mocarstwem. Nic dziwnego, że taka „historia alternatywna” rozbudziła wyobraźnię wielu twardych antykomunistów, rusofobów i poszukiwaczy „polskiej mocarstwowości”, którzy zaczęli wydawać kolejne książki i prowadzić medialne dyskusje całkiem serio rozwijające prowokacyjną tezę Wiczorkiewicza (notabene wieloletniego aktywisty PZPR na Uniwersytecie Warszawskim, który dopiero w ostatnich latach życia stał się nieprzejezanym wrogiem komunizmu i Rosji).

Absurdalność coraz popularniejszej tezy, że rok 1945 był dla Polaków klęską, a nie zwycięstwem, nie może przesłaniać faktu, że Wrzesień 1939 r. był jedną z największych klęsk w dziejach polskiego państwa.

Mamy zatem dwie prawicowe narracje o katastrofie 1939 r.: romantyczną (Polska znów „Chrystusem narodów”, odnosi „moralne zwycięstwo” jako ofiara sił zła) i cyniczną (gdybyśmy poszli z Hitlerem, byłaby nie klęska, lecz zwycięstwo nad komunizmem). Obie łączy antykomunizm i antyrosyjskość, co stanowi wyraźną nowość w patrzeniu na II wojnę światową w skali zarówno polskiej, jak i globalnej. Trzeba bowiem pamiętać, że dla zachodnich zwycięzców tej wojny – Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów – była to wyłącznie wojna z hitlerowskimi Niemcami i ich sojusznikami (Włochy, Japonia), komunistyczna Moskwa była zaś traktowana w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie jako bezcenny sojusznik w walce z nazistowskim złem.

Berlin jak Moskwa

Taka też była „oczywista oczywistość” dla niemal wszystkich Polaków, którzy przeżyli II wojnę światową, i dla

kolejnych pokoleń żyjących w PRL oraz w początkach III RP. Dopiero nowa fala skrajnego antykomunizmu, która zalała Polskę od pierwszych lat XXI w., po rozpoczęciu edukacyjnej, prokuratorskiej i lustracyjnej działalności IPN, zaczęła zmieniać odbiór społeczny wydarzeń lat 1939-1945 na korzyść dwóch wspomnianych narracji, które łączy uwypuklenie kluczowej roli ZSRR we wszystkich nieszczęściach, jakie spotkały Polskę w tym okresie. W ten sposób Polska coraz bardziej oddala się od Zachodu również pod względem patrzenia

na historię najnowszą, dodatkowo konfliktując się z Izraelem i diasporą żydowską, które nigdy nie uznają Hitlera i Stalina za równorzędnych ludobójców. To m.in. dlatego usilne starania władz w Warszawie o obronę „dobrego imienia Polski” przed zarzutami o antysemityzm i udział Polaków w Holokauście skazane są na niepowodzenie. Z taką „polityką historyczną”, która stawia stalinowską Moskwę na równi z hitlerowskim Berlinem, faktycznie znajdujemy się w międzynarodowej izolacji, tym bardziej że sojuszników możemy znaleźć jedynie w takich krajach jak Litwa czy Węgry, które II wojnę rzeczywiście przegrały – jako sojusznicy III Rzeszy. Czy takie towarzystwo bardziej nam odpowiada niż nawet skromne miejsce wśród zwycięzców tej wojny? Innymi słowy, czy antykomunizm i rusofobia są dla naszej prawicy ważniejsze niż pozycja własnego kraju w świecie?

Absurdalność coraz popularniejszej tezy, że rok 1945 był dla Polaków klęską, a nie zwycięstwem,



Minister spraw zagranicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop witany przez ministra Józefa Becka w Warszawie, 25 stycznia 1939 r.

nie może jednak przestaniać faktu, że we wrześniu 1939 r. państwo polskie naprawdę poniosło klęskę, i to jedną z największych w swoich dziejach. Rozmiary tej klęski da się porównać chyba tylko z trzecim rozbiorem Rzeczypospolitej po powstaniu kościuszkowskim, tyle że odbieranie suwerenności, a potem likwidacja państwa polsko-litew-

(z doprowadzonym do skrajności kultem marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego na czele) pozwalała naszym przodkom czuć się w takim państwie pewnie i bezpiecznie.

Znakomity poznański historyk prof. Jerzy Krasuski książkę o dziejach II Rzeczypospolitej zatytułował „Tragiczna niepodległość Polski”. To chyba najlepsze określenie sytuacji

dzięki niespodziewanemu rozpadowi trzech mocarstw zaborczych w 1918 r. i pojawieniu się próżni geopolitycznej w środkowo-wschodniej Europie. Próżnię tę zaczęły wypełniać nowe państwa narodowe, z których największym (wskutek ostatecznej porażki ukraińskiego ruchu niepodległościowego) okazała się Polska. Sukces polskich elit był

jednak złudny, bo wprowadzie po trzech latach walk o utrzymanie suwerenności i granice (1918-1921) Rzeczpospolita zaistniała na mapie Europy, lecz z gigantycznym bagażem jednej trzeciej mieszkańców

należących do mniejszości narodowych. Odrodzona Polska nie była więc państwem narodowym, jakim chciał ją widzieć najsilniejszy wówczas obóz polityczny – Narodowa Demokracja pod wodzą Romana Dmowskiego, ale też nie stała się częścią większej całości obejmującej kilka narodów (jak Czechosłowacja czy Jugosławia), tak jak tego chciał ▶

Polska była biednym krajem rolniczym, nie miała nowoczesnego przemysłu, zwłaszcza motoryzacji i lotnictwa. Musiała liczyć na sojuszników, a z tym przez cały okres międzywojenny był problem.

skiego trwały długie dziesięciolecia, w dodatku w warunkach coraz bardziej uświadamianej sobie słabości wobec sąsiadów. W 1939 r. klęska spadła na Polaków jak grom z jasnego nieba, władze II RP usilnie bowiem wmawiały obywatelom, że jesteśmy „silni, zvarci, gotowi”, a dominacja wojska w życiu publicznym ostatnich lat niepodległości

naszego kraju nie tylko w 1939 r., ale i w całym okresie międzywojennym. Przy czym słowo tragizm należy tu rozumieć tak, jak je rozumieli twórcy teatru w starożytnej Grecji: jako sytuację, z której nie ma dobrego wyjścia, bo każdy wybór drogi nieuchronnie prowadzi do klęski.

To był właśnie przypadek Polski, która odzyskała niepodległy byt

▶ Józef Piłsudski, zwolennik stworzenia związku państw na wschodzie, w granicach przedrozbiorowych, czyli obejmującego także Ukrainę, Białoruś i Litwę.

Można bez wielkiej przesady powiedzieć, że II Rzeczpospolita po traktatach wersalskim z 1919 r. i ryskim z 1921 r. była skazana na zagładę – doszłoby do niej prędzej czy później. Posiadając ziemie, do których naturalne pretensje zgłaszały zarówno Niemcy (Pomorze, Śląsk, Wielkopolska), jak i Związek Radziecki (Kresy Wschodnie), Polska pozostawała bezpieczna tylko dzięki temu, że obaj wielcy sąsiedzi w latach 20. dopiero podnosili się po wojennych klęskach i mimo antypolskiej retoryki nie byli zdolni do faktycznej agresji. Sytuacja radykalnie zmieniła się po przejęciu władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera, który od połowy lat 30. zaczął na nowo tworzyć po-



Do skrajności doprowadzony został kult marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Nz. marszałek podczas przekazania armat Bofors ws. 36 1. Pułkowi Artylerii Przeciwlotniczej ufundowanych przez prawników polskich, maj 1938 r.

II Rzeczpospolita po traktatach wersalskim z 1919 r. i ryskim z 1921 r. była skazana na zagładę. Posiadała ziemie, do których naturalne pretensje zgłaszały i Niemcy, i Związek Radziecki.

tęgę militarną, a następnie wysuwać ultimatywne żądania wobec kolejnych państw: najpierw Austrii, potem Czechosłowacji, wreszcie Polski.

Przestrogi Sikorskiego

I trzeba jasno powiedzieć: w latach 1938-1939 nie było w Europie siły, która mogłaby w pojedynkę powstrzymać Hitlera. Państwa zachodnie nie dorównywały III Rzeszy w tempie i skali zbrojeń, Polska zaś była po prostu biednym krajem rolniczym, który praktycznie nie miał nowoczesnego przemysłu, zwłaszcza w tych dziedzinach, które miały decydować o przebiegu XX-wiecznej wojny: motoryzacji i lotnictwie. Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że elity II RP pozostawały nieświadome tych słabości. Jeszcze w 1934 r. ukazała się książka gen. Władysława Sikorskiego „Przyszła wojna”, w której były (i przyszły) premier przewidywał wybuch konfliktu o skali globalnej, opartego

na nowoczesnej technice, której Polska nie posiadała. Rok później wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski rozpoczął wdrażanie swoich wieloletnich planów gospodarczych, z których pierwszy miał objąć budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego, służącego głównie produkcji uzbrojenia. Było już jednak za późno, a zresztą nawet gdyby COP powstał wcześniej, to skala zacofania gospodarczego Polski wobec Niemiec była tak wielka, że nie mogło być mowy o zrównaniu potencjałów wojennych obu państw.

Polska musiała zatem liczyć na sojuszników. A z tym przez cały okres międzywojenny mieliśmy problem. Od 1921 r. II Rzeczpospolitą łączyły umowy polityczno-wojskowe z Francją i Rumunią. Z tą pierwszą mieliśmy wspólne obawy wobec Niemiec, z tą drugą – wobec ZSRR. W praktyce ani Francuzi, ani Rumuni nie mieli woli politycznej, by ustalenia dyplomatyczne z Polską przekuć w realny sojusz militarny, co zresztą

było „grzechem pierworodnym” wszystkich państw powersalskiej Europy, bo krótkowzroczne egoizmy narodowe brały górę nad poczuciem odpowiedzialności za losy kontynentu.

W takich warunkach polska dyplomacja nie zachowywała się inaczej, a kierujący nią od 1932 r. minister Józef Beck stawiał wyłącznie na umowy dwustronne, nie chcąc słyżeć o udziale w żadnych szerszych porozumieniach. Z jednej strony, pozwoliło to uniknąć Polsce przystąpienia do paktu antykominternowskiego, czyli sojuszu III Rzeszy z Japonią i Włochami wymierzonego w ZSRR – do czego usilnie namawiali Becka Niemcy. Z drugiej, szef polskiego MSZ konsekwentnie odrzucał wszelkie próby zbudowania porozumienia mającego powstrzymać hitlerowskie apetyty w Europie. Próby takie podejmowali Francuzi, Brytyjczycy i Czesi, dla których było oczywiste, że nie uda się pokonać zagrożenia niemieckiego bez udziału Związku Radzieckiego, tym bardziej w sytuacji, gdy Hitler epatował antykomunizmem i nie krył planów ekspansji na wschód. Jednak myśl o jakimkolwiek porozumieniu z Moskwą (nawet u boku sojuszniczego Paryża oraz zaprzyjaźnionego

Londynu, lecz i zniechęconej Pragi) była polskiej dyplomacji całkowicie obca, choć państwa zachodnie występowały z taką koncepcją od 1934 r. aż do sierpnia 1939 r., gdy fiaskiem zakończyły się brytyjsko-francuskie rozmowy wojskowe w ZSRR.

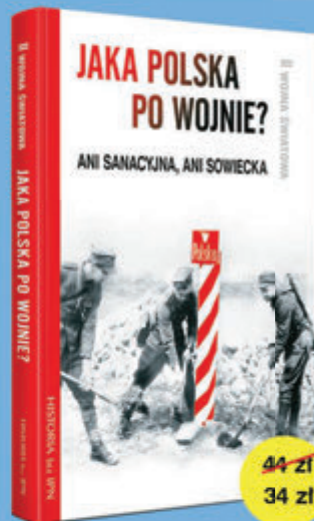
Oczywiście można zrozumieć obawy polskich władz przed możliwością wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Rzeczypospolitej, by wspólnie działać przeciwko III Rzeszy (innej drogi na zachód wojska radzieckie nie miały). Nie da się jednak zrozumieć postępowania ministra Becka wobec Czechosłowacji, w której rozbiórce Polska wzięła udział w październiku 1938 r., zajmując Zaolzie w tym samym momencie, gdy Hitler zajmował czeskie Sudety. Potrzeba prestiżowego sukcesu ekipy rządzącej wzięła tu górę nad rozsądkiem politycznym, który nakazywał przynajmniej nie sprawiać wrażenia, że jest się sojusznikiem Hitlera. Warto w tym kontekście przytoczyć opinię ówczesnego ambasadora Polski w Londynie, późniejszego prezydenta na wychodźstwie Edwarda Raczyńskiego, który w 1986 r. mówił Andrzejowi Romanowskiemu: „W ciągu 40 lat od zakończenia wojny wielokrotnie myślałem o przyczynach naszej klęski i za każdym razem dochodziłem do przekonania, że nie można było jej uniknąć, że naprawdę nie było dla nas ratunku. Ale w jednym punkcie naszej polityki tkwił przecież błąd; to był stosunek do Czechosłowacji i Małej Ententy. Rozumiem oczywiście, że błędy były po obu stronach, ale w obliczu katastrofy, jaka spotkała oba nasze narody, klęski, jaka stała się udziałem europejskiej cywilizacji, wydaje mi się, że nie próbowaliśmy porozumienia z południowym sąsiadem wystarczająco wytrwale. Zastanawiam się, co by było w 1938 r., gdybyśmy, zamiast domagać się rewizji granic i żądać Zaolzia, poszukali kontaktu. Gdybyśmy stanęli mocno przy Czechach i zachęcali ich do oporu. Gdybyśmy byli po stronie broniących, a nie »wyciskających«... Jak by to się skończyło, oczywiście nie wiadomo. (...) Ale nawet gdyby wojna wybuchła w 1938 r., to byłaby wtedy dla nas lepsza koniunktura, to przecież czas przed paktem Ribbentrop-Mołotow...” (A. Romanowski, „Ludzie tamtego czasu. Wywiady z lat 1977-1998”, Kraków 2000, s. 106).

W latach 1938-1939 nie było w Europie siły, która mogłaby w pojedynkę powstrzymać Hitlera.

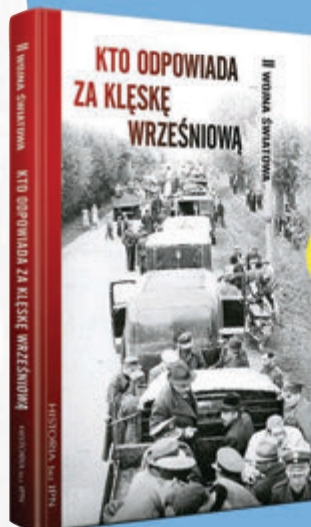
Nikt odpowiedzialny nie powie dziś, że wojny z Niemcami mogliśmy uniknąć. Można jedynie dyskutować, czy Polska była w stanie lepiej do tej wojny się przygotować – zarówno pod względem uzbrojenia armii czy zaplanowania działań wojennych, jak i od strony dyplomatycznej. Trudno natomiast zgodzić się z tezą (głoszoną zwłaszcza przez tych, którzy żałują niespełnionego sojuszu z III Rzeszą), że II RP weszła do wojny w najgorszym dla siebie położeniu. To prawda, sojusz z Francją, uzupełniony tuż przed najazdem niemieckim sojuszem z Wielką Brytanią, niewiele Polsce pomógł w wojnie obronnej 1939 r. Nie należy jednak ignorować faktu, że 3 września oba zachodnie mocarstwa wypowiedziały Niemcom wojnę, wywiązując się w ten sposób z politycznej części swoich zobowiązań. Była to pierwsza porażka Hitlera, któremu zależało jedynie na lokalnej wojnie w środku Europy (jeśli nie z Czechosłowacją, ▶

Trzy książki autorów PRZEGLĄDU

GDY POLACY SIĘ KLÓCILI, STALIN Z CHURCHILLEM ZADECYDOWALI O LOSACH POLSKI



OBIETNICE PARTII I ŚRODOWISK POLITYCZNYCH W OKUPOWANYM KRAJU I LONDYNIE



PAKIET
135 zł
99 zł

DOKUMENTY Z KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY

JAK KLĘSKA WE WRZEŚNIU '39 WPŁYNĘŁA NA KSZTAŁT POLSKI

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

▶ to z Polską), a bardzo się obawiał powtórki z I wojny światowej, gdy Niemcy przegrały z aliansem francusko-brytyjsko-amerykańskim.

Wrzesień 1939 r. był dla Polski katastrofą, jednak nie można zapominać, że stanowił równocześnie początek globalnego konfliktu, którego Niemcy i ich sojusznicy nie byli

Pomijając już fakt, że porozumienia Moskwy (kiedyś Petersburga) z Berlinem były raczej epizodami niż regułą w dziejach obu państw, trzeba podkreślić sprawę podstawową: dzisiejsze Niemcy nie stanowią żadnego zagrożenia dla Polski ani dla kogokolwiek innego, bo należą do NATO i Unii Europejskiej, są więc

Unii Europejskiej, łatwo wchodzącej w ambicjonalne konflikty z Czechami, Francją, Izraelem, a nawet Stanami Zjednoczonymi, skoro rządzi tam obecnie ekipa, która odsunęła prawicę od władzy. A wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy świat zachodni politycznie i militarnie zjednoczył się w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej i tylko Węgry dają czasem do zrozumienia, że ta sytuacja im nie odpowiada. Ale właśnie z Węgrami polska prawica trzyma się w antyeuropejskim i antyliberalnym sojuszu, tak samo jak w latach 30. sanacja marzyła o wspólnej granicy polsko-węgierskiej, co oznaczało kwestionowanie porządku europejskiego narzuconego przez liberalne demokracje po I wojnie światowej.

„Ludzie niedorośli do rządzenia” – tak określił Stanisław Cat-Mackiewicz ekipę, która kierowała Polską po śmierci Piłsudskiego i którą polskie społeczeństwo mniej czy bardziej słusznie obciążało odpowiedzialnością za klęskę wrześniową. Tak samo należałoby nazwać ludzi rządzących dziś naszym krajem, choć proste porównanie ich do sanacji byłoby z pewnością obraźliwe dla tej ostatniej. To nie ten poziom

Na Zachodzie pamięta się, że bez udziału Stalina nie byłoby tak szybkiego i totalnego zwycięstwa nad III Rzeszą, a więc również powstrzymania hitlerowskiego ludobójstwa.

w stanie wygrać. To oznaczało, że po wojnie zostanie zbudowany nowy porządek europejski, a w tym porządku znajdzie się miejsce dla Polski jako państwa, które w momencie hitlerowskiej napaści było sojusznikiem Paryża i Londynu, 17 września 1939 r. nie wypowiedziało zaś wojny Moskwie. Choć wielu do dziś żałuje, że tak się nie stało, i ma za złe marsz Rydzowi-Śmigłemu, że gdy opuszczał Polskę, rozkazał, by „z bolszewikami nie walczyć”. Przy okazji zacytujmy słowa z ostatniego rozkazu naczelnego wodza, wydanego już w Rumunii 20 września 1939 r.: „Trzeba zacisnąć zęby i przetrwać. Położenie się zmieni, wojna jeszcze trwa. Będziecie jeszcze bić się za Polskę i wrócić do Polski przynosząc Jej zwycięstwo”. Słowa prorocze, bo to zwycięstwo przyszło w 1945 r., chociaż sam Rydz-Śmigły go nie dożył...

Tezy Kaczyńskiego

Trudno porównywać położenie Polski 84 lata temu i obecnie. Oczywiście są tacy, którzy serio traktują tezę Jarosława Kaczyńskiego o III Rzeczypospolitej jako „kondominium niemiecko-rosyjskie”, które może powrócić, jeśli tylko PiS straciłoby władzę. Ale zarówno w tym kuriozalnym określeniu, jak i w wielu innych wypowiedziach polskich polityków widać przekonanie o tym, że główną przyczyną nieszczęść Polski w 1939 r. – jak i w każdym innym momencie naszych dziejów – były układy Niemiec z Rosją, zawsze skierowane przeciwko Polsce.

(razem z nami) częścią europejsko-atlantycznego układu, w którym narodowe egoizmy nie mają szans wziąć góry nad zdrowym rozsądkiem, jak to się stało w okresie międzywojennym. Dlatego analogie z paktem Ribbentrop-Mołotow mają dziś znaczenie wyłącznie propagandowe, w dodatku kompletnie niezrozumiałe w świecie zachodnim, gdzie jest oczywiste, że II wojnę światową wywołał sam Hitler i zrobiłby to bez względu na to, czy miałby układ ze Stalinem, czy nie. Za to pamięta się, że bez udziału Stalina

Wbita do głów naszych elit klisza „diabelskiego paktu Ribbentrop-Mołotow” jest jedną z ważniejszych przyczyn absurdalnej polityki zagranicznej.

nie byłoby tak szybkiego i totalnego zwycięstwa nad III Rzeszą, a więc również powstrzymania hitlerowskiego ludobójstwa.

Wbita do głów naszych elit klisza „diabelskiego paktu Ribbentrop-Mołotow” (który w rzeczywistości był jedynie odłożeniem w czasie nieuchronnego konfliktu niemiecko-radzieckiego) jest jedną z ważniejszych przyczyn absurdalnej polityki zagranicznej prowadzonej od ośmiu lat przez polską prawicę. Absurdalnej – bo kwestionującej wiarygodność demokratycznych i antyfaszystowskich Niemiec (traktowanych o wiele gorzej niż nazistowskie Niemcy przez ministra Becka!), podważającej fundamenty współpracy w ramach

intelektualny i moralny, a przede wszystkim zupełnie inna formacja ideowa. Piłsudscy wywodzili się bowiem głównie z ruchu socjalistycznego i tym, co ich najmocniej odróżniało od prawicowych rywali (endecji), była niechęć do nacjonalizmu i klerykalizmu. Niewątpliwie dlatego – mimo wszystkich błędów ministra Becka – sanacja nie uległa namowom Hitlera i jako jedyna dyktatura w ówczesnej Europie pozostała w obozie antyfaszystowskim. Przynajmniej to jedno było naszym „szczęściem w nieszczęściu” i stanowiło punkt wyjścia do odbudowy Polski po wojnie na znacznie solidniejszych podstawach niż po 1918 r.

Paweł Siergiejczyk

Z Galicji



Jan Widacki

Ostatni lot Prigożyna

Świat obiegra wiadomość: na trasie między Moskwą a Petersburgiem, gdzieś w rejonie Tweru, rozbił się prywatny pasażerski samolot odrzutowy Embraer Legacy. Zginęli wszyscy, którzy byli na pokładzie samolotu: siedmiu pasażerów i troje członków załogi. Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego, katastrofy lotnicze zdarzają się wszędzie na świecie, gdyby nie to, że wśród pasażerów znajdował się Jewgienij Prigożyn, szef najemników-bandytów nazywanych grupą Wagnera, i nieznany tak powszechnie jego zastępca, Dmitrij Utkin. Ten był oficer GRU uchodzący za twórcę osławionego oddziału.

W zasadzie nikt nie powinien mieć wątpliwości. Putin dorwał i ukarał Prigożyna, który swoim puczem nie puczem, przerwany marszem na Moskwę, przed miesiącem ośmieszył dyktatora. Wszystko wydaje się jasne. Miał Putin powód do zemsty? Miał. Miał możliwość się zemścić? Miał. Wszystko mieściło się w ramach KGB-owskiej metody postępowania.

Ale kilka kwestii wydaje się mimo to niejasnych. Ukatrupić Prigożyna i jego kamrata można było bez rozgłosu, cichcem, bez powodowania katastrofy samolotu. Mógł się zatruć grzybkami, udławić ością sandacza, wyskoczyć z okna, zamykając je zresztą za sobą. Umrzeć na atak wrażliwego serca. Przypadkiem napromieniować się czymś szkodliwym albo zamiast aspiryny uraczyć się nowiczkami. Wszystkie te metody znane są z praktyki i KGB, i jego poprzednika – NKWD. Dlaczego tym razem wybrano taką osobliwą formę? A poza tym co Prigożyn robił w Moskwie? Skąd się tam wziął? Rzekomo był w Afryce, skąd rozgłaszał, że walczy o interesy Rosji mimo 50-stopniowego upatu. Ale już raz po tym puczu nie puczu miał być na Białorusi, gdzie pobyt (bezpieczny pobyt?) miał mu wynegocjować sam Łukaszenka. Okazało się później, że Prigożyn był nie na Białorusi, ale w Moskwie, i rozmawiał z Putinem. To może rzeczywiście na liście pasażerów embraera było tylko jego nazwisko, a on sam był gdzie indziej? Mistyfikacja? Czyja? Putinowskich służb specjalnych czy samego Prigożyna? Tak niektórzy podejrzewają. Chyba nadmiar spiskowego myślenia.

A może była to zemsta nie Putina, tylko jego generałów, osobistych wrogów Prigożyna, w których

wymierzony był jego pucz nie pucz? Czy możliwe, aby na coś takiego poważyli się bez wiedzy i akceptacji Putina? Mało prawdopodobne. Upozorowali katastrofę, wprowadzając w błąd światową opinię publiczną i samego dyktatora? Zrobili to, na co nie zdecydował się sam Putin, w dodatku w tajemnicy przed nim?

A może Prigożyn dogadał się z Putinem przeciw generałom i odlatywał – jak sądził – bezpiecznie do Petersburga? Jakies walki wewnętrzne w rosyjskim kierownictwie trwają, jakieś frakcje się zwalczają, niewiele o tym wiemy. Zobaczymy, co przyniesie śledztwo. Niewykluczone, iż zakończy się szybko ustaleniem, że przyczyną katastrofy była awaria maszyny, zachodniego produktu przecieź, z definicji mniej niezawodnego niż samoloty produkcji radzieckiej bądź rosyjskiej, lub że pilot oszalał i popełnił takie rozszerzone samobójstwo. Ale też możliwe,

Ukatrupić Prigożyna i jego kamrata można było cichcem, bez powodowania katastrofy samolotu. Dlaczego wybrano taką osobliwą formę?

że dochodzenie ustali, iż była to dywersja NATO lub ukraińska. Możliwy również jest wniosek, że za zamachem stoją rosyjscy generałowie, spisujący przeciw Rosji i jej carowi. To ostatnie rozwiązanie mogłoby być dla Putina idealne. Poz byłby się za jednym zamachem Prigożyna i kilku generałów, których chciałby się pozbyć, i to byłby znakomity pretekst. Poczekajmy zatem na wyniki owego śledztwa. Pokażą one to, co mają pokazać, ale mimowolnie ujawnią także intencje dyktatora.

Na razie możemy sobie pospekulować. W spekulowaniu na temat przyczyn katastrof lotniczych mamy wprawę. Szkoda, że aktualny stan stosunków polsko-rosyjskich wyklucza możliwość poproszenia przez Rosjan o pomoc polskich fachowców od ustalania przyczyn katastrof z podkomisji Antoniego Macierewicza. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn



Jak liczyć, żeby nie policzyć

Czy PiS utopi 350 tys. głosów Polonii?

Robert Walenciak

Co z głosowaniem Polaków mieszkających za granicą? PiS robi wszystko, by 15 października ich głos liczył się jak najmniej. I pewnie mu się uda, choć walka jeszcze trwa. Po prostu Polonia jest dziś wrogiem PiS, a w jego logice wroga należy zwalczać lub przynajmniej ograniczać jego wpływ.

Robert Tyszkiewicz, przewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, nie ma wątpliwości, o co toczy się gra. „Toczymy walkę o radykalne zwiększenie liczby obwodowych komisji wyborczych za granicą – mówi. – Tylko to daje szansę, by uniknąć skandalu”. Ale czy go unikniemy?

Kluczowy był rok 2020 i wybory prezydenckie. Druga tura, starcie Duda-Trzaskowski. Wówczas, zgodnie z danymi Państwowej Komisji Wyborczej, w głosowaniu za granicą ważny głos oddało prawie 416 tys. osób. Rafała Trzaskowskiego poparło 308 tys., czyli ponad 74% wyborców zagranicznych, Andrzej Duda otrzymał niespełna 108 tys. głosów. Tak oto ostatecznie zawałił się mit Polonii głosującej na PiS, a wcześniej na Akcję Wyborczą Solidarność, na Jana Olszewskiego, Ruch dla Rzeczypospolitej itp. Mit górali z Chicago.

Zresztą wcześniej, w roku 2019, większość Polaków za granicą poparła partie opozycyjne. Tendencja jest więc oczywista, wybory prezydenckie tylko ją uwypukliły. A skąd się wzięła? Powód jest prosty – coraz więcej Polaków pracuje, studiuje i mieszka za granicą. Trudno nawet nazywać ich Polonią, bo utrzymują stały kontakt z krajem, przyjeżdżają tu często, pracą w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii traktują tak jak wyjazd do innego miasta. Nie ma strzeżonych granic, jest łatwe połączenie, z Warszawy do

Frankfurtu czy Amsterdamu można się dostać szybciej niż do Krosna.

Nic dziwnego, że liczba Polaków głosujących za granicą rośnie. W 2011 r. w wyborach do Sejmu za granicą głosowało 139 tys. Polaków, w wyborach w 2015 r. ta liczba wzrosła do 199 tys., a w roku 2019 do 349 tys. osób. Rekordzistą jest Wielka Brytania – tu głosowało 182 tys. rodaków.

Dodajmy jeszcze jedno – ci pracujący za granicą to przeważnie osoby z kwalifikacjami, wykształcone, myślące zachodnimi kategoriami. Nieprzypadkowo rozkład głosów Polonii jest niemal taki sam jak wśród mieszkańców Warszawy.

O tym wszystkim w PiS doskonale wiedzą, toteż układając Kodeks wyborczy, partia władzy zrobiła wszystko, co tylko możliwe, by głosy tej grupy odesłać w niebyt. Korzystając z różnych trików. Pisaliśmy już o tym w PRZEGLĄDZIE i – jak się okazuje – wszystkie pesymistyczne przewidywania się potwierdzają.

Jedynym rozwiązaniem jest radykalne zwiększenie liczby obwodowych komisji wyborczych za granicą. Ale MSZ w tej sprawie kluczowy.

Pierwszy trik, który zastosowano, to likwidacja głosowania korespondencyjnego. Dodajmy, że takie głosowanie było wśród Polonii bardzo popularne, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie, gdzie aby dostać się do punktu wyborczego, trzeba przebyć kilkaset kilometrów.

Oto mamy więc nielogiczną (z pozoru) sytuację – PiS pod hasłami ułatwienia głosowania zarządziło darmową dowózkę do lokali wyborczych w regionach wiejskich, a jednocześnie zlikwidowało możliwość głosowania korespondencyjnego za granicą, choć z tej możliwości w roku

2020 skorzystało kilkaset tysięcy Polaków. Tymczasem logika jest banalnie prosta – w rachubach PiS mieszkańcy wsi to wyborcy tej partii, trzeba zatem zrobić wszystko, by głosowało ich jak najwięcej, natomiast Polacy za granicą to wyborcy opozycji i dobre jest to, co służy zmniejszeniu siły ich głosów.

Drugi trik tłumaczony jest z kolei tym, że Polacy nie mogą bez końca czekać na ogłoszenie wyników wyborów. Wprowadzono wobec tego zasadę, że komisje muszą przeliczyć głosy w ciągu 24 godzin. Jeśli to im się nie uda – wszystkie głosy oddane w danej komisji zostaną uznane za nieważne. Kto pamięta kolejki przed lokalami wyborczymi w Wielkiej Brytanii, Francji czy USA, wie, jak to może się skończyć. To nie są bezpodstawne obawy.

Wreszcie trzeci trik to zasada, że głosy powinna liczyć cała komisja. Ma to wyglądać tak, że jeden z jej członków podnosi kartę, wszyscy ją widzą i dopiero wtedy jest uznana za policzoną. W praktyce ten sposób, spowalniający liczenie, nie daje szans,

by duże komisje uporały się ze swoją pracą w 24 godziny. W Londynie, jeszcze w marcu, działacze organizacji Polonia Głosuje dokonali próby takiego liczenia. Udało im się w ciągu godziny przeliczyć 98 głosów. Czyli, zakładając, że będą pracować 24 godziny bez przerwy, policzą trochę ponad 2 tys. kart. Dodajmy, że w ciągu tych 24 godzin komisje muszą nie tylko policzyć głosy, ale też spisać protokół i wysłać go elektronicznie do konsulatu. Na sprawy biurokracji trzeba zatem poświęcić dwie godziny.

A będzie jeszcze trudniej! Bo komisje będą musiały przeliczyć głosy

Kolejka do lokalu wyborczego w Wydziale Konsularnym Ambasady RP w Paryżu w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego, 26 maja 2019 r.



oddane nie tylko w wyborach do Sejmu i Senatu, ale też w referendum. Jak sobie z tym poradzić? Robert Tyszkiewicz podpowiada, że Kodeks wyborczy wyznacza granicę 24 godzin w wyborach do Sejmu i Senatu. O referendum nic nie mówi. Będzie więc postulował, by PKW napisała instrukcję, w jakiej kolejności głosy powinny być liczone, że te referendalne powinny się liczyć na końcu. Czy to pomoże? Zobaczymy.

W każdym razie jedynym możliwym rozwiązaniem w takiej sytuacji jest radykalne zwiększenie liczby obwodowych komisji. To rozwiązanie nasuwa się samo – w Polsce obwodowa komisja obsługuje średnio 1,1 tys. mieszkańców, Kodeks wyborczy wymaga, by tworzono je we wsiach zamieszkałych przez 200 osób. Tymczasem w wielu komisjach obwodowych za granicą głosowało po kilka tysięcy wyborców. Na świecie takich wielotysięcznych komisji było 51. A w rekordowych, w Londynie czy Manchesterze, głosowało w każdej ponad 20 tys. Polaków! Nie mamy złudzeń – jeżeli nic w tej sprawie nie zmieni się na lepsze, nie zostaną powołane nowe komisje, te głosy zostaną uznane za nieważne.

Kłopot w tym, że w sprawie zwiększenia ich liczby MSZ wciąż kluczy. Wiceminister Piotr Wawrzyk, owszem, przychodzi na posiedzenia sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, ale bardzo się pilnuje, by nic konkretnego na ten temat nie powiedzieć. W czerwcu poinformował, że obwodowych komisji będzie ok. 400. Ale nie może dokładnie ich liczby określić, bo prezydent jeszcze nie ogłosił daty wyborów. Tak jakby kwestia, czy wybory będą dwa tygodnie później, czy wcześniej, miała wpłynąć na liczbę głosujących za granicą Polaków.

W sierpniu przed tym samym gremium mówił już, że komisji obwodowych może być mniej niż 400, raczej

Jak władza chce zablokować głosy z zagranicy

- Pierwszy trik to likwidacja głosowania korespondencyjnego.
- Drugi trik to zasada, że komisje muszą przeliczyć głosy w ciągu 24 godzin. Jeśli to im się nie uda – wszystkie głosy oddane w danej komisji zostaną uznane za nieważne.
- Trzeci trik to zasada, że głosy powinny liczyć cała komisja.

ok. 360. Czyli ich liczba zbyt mało wzrośnie w porównaniu z wyborami 2019 r. – bo wówczas było ich 320.

Nie mamy złudzeń, ta niewielka liczba nowych komisji, którą MSZ proponuje, to zapowiedź unieważniania głosów. Jeżeli bowiem w 51 obwodach głosowało powyżej 2 tys. Polaków, to trzeba utworzyć przynajmniej 51 nowych komisji, by sprawnie policzyć głosy. A w Londynie czy Manchesterze – kilkanaście.

Rzecz w tym, że w tej sprawie MSZ nabrało wody w usta i wiceminister unikał deklaracji, kiedy ogłoszona zostanie nowa siatka komisji.

W wystąpieniu Wawrzyka nie brakło urzędniczej arogancji – bo mówił, że „przy planowaniu rozmieszczenia i liczby (komisji) będą brane pod uwagę takie czynniki jak: szacowana frekwencja wyborcza (w oparciu o dane dotyczące liczby zamieszkujących i przebywających uprawnionych do głosowania), zdolności organizacyjne i osobowe placówek, dostępność infrastruktury polonijnej w państwie przyjmującym”. Co znaczy zwrot „zdolności organizacyjne i osobowe placówek”? To one muszą przecież na te kilkadziesiąt godzin dostosować się do liczby Polaków chcących zagłosować, a nie odwrotnie.

► Brak informacji, ile będzie komisji obwodowych i gdzie będą one rozlokowane, jest oczywistym szokowaniem katastrofy. Na stronach internetowych konsulatów możemy wyczytać, że zostanie to ogłoszone 25 września. Czyli 20 dni przed wyborami. MSZ zostawia więc raptem kilkanaście dni na ewentualne poprawki związane z liczbą i zasięgiem komisji, na wynajem lokali, na poinformowanie miejscowych władz i policji o wyborach (z prośbą o ochronę), na wybór członków komisji. Ten wybór też trzeba wcześniej przeprowadzić, ogłosić nabór wśród Polaków mieszkających w danym kraju, liczyć się z odwołaniami, dyskusjami itd. To może być gorący temat, bo wiele lokalnych komitetów zamierza zgłaszać swoich kandydatów do komisji wyborczych. Pytanie tylko – jaką odpowiedź otrzymają z konsulatów. Z kolei jeśli chodzi o kraj, to w MSZ urzędnicy już mogą się zgłaszać, by wyjechać do pracy w komisji, ale skoro nie wiadomo, ile ich będzie, nie wiadomo, jak prowadzić nabór. Trudno również szacować koszt wyborów.

Wygląda to wszystko na potworną amatorszczyznę. Przedstawiciele MSZ mówią, że liczą na pomoc przedstawicieli Polonii w kwestii wynajmu lokali wyborczych. A jak ci nie pomogą? Rozpatrywany jest też wariant, by komisje lokować w parafiach. Trudno uznać to za dobry pomysł.

Do tego dodajmy rzecz banalną – jeżeli ogłoszenie liczby i zasięgu komisji wyborczych tak się odwleka, bardzo trudno będzie poinformować obywateli RP przebywających za granicą, gdzie, pod jakim adresem mogą głosować. A także o tym, że wcześniej, do 6 października, muszą się wpisać na listę wyborców – albo osobiście w konsulacie, albo poprzez platformę e-wybory. Choć do tej pory tę sprawę można było załatwić telefonicznie lub faksem. Zwłaszcza dla osób starszych może to być wielkie utrudnienie.

I może o to chodzi? Żeby był bałagan i frekwencja za granicą była jak najniższa? W tym kierunku to zmierza.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeklad.pl

Rozmawia Paweł Dybicz

W poprzednich wyborach do Sejmu kandydowała pani z Warszawy.

Dziś – z Warmii i Mazur.

To wygląda na zesłanie.

– W tym moim kandydowaniu z okręgu nr 35 nikt, ani prokurator, ani nikt z Lewicy, nie maczał palców. Sama przyszedłam i zaproponowałam, żeby umieścić mnie na liście warmińsko-mazurskiej, dlatego że na tym terenie od kilku miesięcy mieszkam. Przez dwa lata remontowałam dom i teraz chcę spędzić tam dużą część swojego życia. Muszę też być w Warszawie, ale ona od miesięcy jest dla mnie i mojej rodziny domem numer dwa.

Zmieniła pani miejsce zamieszkania, ale chyba nie zapatrywania?

– Nie! Jestem zupełnie nieobrotowa. Zainteresowania – to znaczy prawa kobiet, świeckie państwo – pozostają jako naczelną i niezmienną.

Aż tak PiS założyło pani za skórę, że została pani jedną z organizatork Strajku Kobiet?

Na wsiach księża często odgrywają bardzo pożyteczną rolę. Ja naprawdę nie jestem wrogiem duchownych, bo wiem, że wielu robi dobrą robotę i są za to szanowani.

– To, co się dzieje od ponad czterech lat, to jazda walcem po prawach człowieka. I nie dotyczy to wyłącznie kobiet, bo również społeczności LGBT. Coś mogę na ten temat powiedzieć, bo jestem mamą dwójki dzieci, w tym transpłciowej córki. Jestem głęboko oburzona, wręcz zbulwersowana tym, w jaki sposób traktuje się społeczność LGBT, będącą obiektem szczucia. Jeśli chodzi o moje zaangażowanie w walkę o prawa kobiet, to zaczęło się ono na poważnie w 2016 r., ale dużo wcześniej miałam świadomość, że w 1993 r., w wyniku tzw. kompromisu aborcyjnego, kobiety straciły prawo do dysponowania własnym zdrowiem i życiem. Od samego początku rozumiałam, że nasze prawa zostały sprzedane Kościołowi w zamian za poparcie 10 tys. ambon, z których księża grzmieli, na kogo należy głosować.

Ale to w ciągu ostatnich ośmiu lat władza zaostrzyła walkę z kobietami, wykorzystując do niej policję.

– Posunęła się nawet do rzeczy haniebnej – do bicia kobiet. Jest to wysoce bulwersujące i niegodziwe. Mam nadzieję, że po tych wyborach to wreszcie się skończy, choć słabo wygląda porozumienie na opozycji. Liczę na to, że wkrótce dojdzie do jakiegoś paktu sejmowego, w którym będzie jasno powiedziane, co zostanie zmienione w przyszłej kadencji. Jeśli tego nie będzie, takiego jasnego sygnału, to boję się, że wielu potencjalnych wyborców opozycji nie będzie głosować.

Znam dużo osób, które mówią, że nie dojdzie do takiego porozumienia i współdziałania, bo obecna Platforma Obywatelska niewiele się różni od tamtej sprzed kilku lat. Nie mówią już o PSL.

– Myślę, że jednak nie jest to ta sama Platforma. Czas, który minął od 2015 r., w dużym stopniu ją zmienił, wręcz „zlewaczył”. Spowodował, że PO jednoznacznie opowiedziała się w kwestii aborcji i związków partner-

skich, co nie jest rewolucyjną propozycją, ale zawsze jakimś krokiem do przodu. Natomiast niepokoi mnie dobór osób na listach PO, brak pewności, czy te osoby, które jeszcze do niedawna sprzeciwiały się zmianie prawa do aborcji, teraz zagłosują „za”. Nie mam pewności, że tak będzie, ale zobaczymy. Może być tak, że walka o prawa kobiet będzie trwała jeszcze jakiś czas, ale mam nadzieję, że ruch, który reprezentuję – Strajk Kobiet – a przede wszystkim poglądy społeczeństwa, wymuszą takie zmiany.

Chce pani powiedzieć, że poglądy społeczeństwa na sprawy kobiet i równości obywateli szybciej się zmieniają niż poglądy polityków?

– Wszystkie badania na to wskazują, że politycy zwykle są w tyle, nie nadają tonu, tylko są lustrem środka. Czy może bardziej prawej strony, ze względu na obawę przed tym, że proboszcz

Ze Strajku Kobiet do Sejmu

Kto nie zna prawdziwej historii Warmii i Mazur,
ten nie rozumie ich mieszkańców

lub biskup będzie nawoływał do bojkotowania tego czy innego polityka. Tak zawsze było po 1989 r., nadal jest i pewnie jeszcze długo będzie. Dopóki nie przeprowadzimy ostrego rozdziału Kościoła od państwa i nie wyznaczymy jasnych granic, których nie może on przekraczać.

I tu dochodzimy do drugiego pola pani aktywności – na rzecz świeckości państwa, jego laicyzacji.

– U nas sojusz ołtarza z tronem jest coraz silniejszy. Jestem działaczką na rzecz rozdziału Kościoła od państwa, a nie na rzecz laicyzacji. Laicyzacja jest procesem, który dzieje się oddolnie. Stowarzyszenie Kongres Świeckości, któremu przewodzę, prowadzi działania wpływające na to, by ludzie mieli odwagę sprzeciwiać się postępującej klerykalizacji. W tym sensie jesteśmy środowiskiem działającym na rzecz laicyzacji. Rola Kościoła w życiu społecznym słabnie, skazana jest na marginalizację. Wskazują na to wszystkie światowe trendy. U nas to się dzieje w postępie geometrycznym: wśród ludzi do lat 40 jesteśmy najszybciej laicyzującym się społeczeństwem na świecie, co pokazują choćby badania Pew Research Center z 2018 r. Wynika z nich, że spośród 108 przebadanych krajów Polska jest liderem w spadku religijności. Nachalne przeistaczanie Polski w państwo wyznaniowe będzie tylko wzmagać proces laicyzacji, a w konsekwencji przyśpieszy rozdział Kościoła od państwa. Będzie rodzić opór ludzi, którzy są głęboko oburzeni tym, jak wygląda w tej chwili relacja władzy z Kościołem, i tym, w jak instrumentalny sposób traktowany jest Kościół, w którym proboszczowie pełnią funkcję agitatorów politycznych.

Co pani uzna za przejaw tego, że bliżej nam do państwa świeckiego niż – jak dziś – wyznaniowego?

– To, że Kościół katolicki będzie postrzegany i traktowany jako jedna



BOŻENA PRZYŁUSKA

– kandydatka Lewicy do Sejmu, okręg nr 35, pozycja 3
(miasta i powiaty: Olsztyn, Elk, Nidzica, Giżycko, Gołdap, Kętrzyn, Mrągowo, Olecko, Pisz, Szczytno i Węgorzewo)

z organizacji społecznych, niewyjęta spod ogólnie obowiązującego prawa. Że będzie się wywiązywał, tak jak organizacje pozarządowe, z obowiązku sprawozdawczości finansowej, prowadzenia transparentnych ksiąg finansowych. I że wszystkie Kościoły będą podlegały przepisom prawa państwowego. Wiem, że daleka do tego droga, tym bardziej że pozycja Kościoła katolickiego została

zabetonowana w art. 25 konstytucji, w części ustrojowej. Jakby podprogowo Kościoły zostały uznane przez twórców konstytucji za element naszego ustroju, co jest już błędem samym w sobie, ale zostawmy to jako element jakiejś tradycji czy historii. Nie oznacza to jednak, że należy tworzyć specjalne przywileje dla Kościołów. One mają swoje prawodawstwo, prawo kanoniczne. W wielu ▶

► miejscach stoi ono w sprzeczności z polskim prawem albo różni się od świeckiego, państwowego.

Ojciec dyrektor otwarcie mówi, że „prawo boskie jest ważniejsze niż państwowe”.

– Nadzędność prawa państwowego nad kanonicznym w demokratycznym kraju jest oczywista. To, że w Polsce w wielu wypadkach odmiennie traktuje się i karze księży pedofilów niż np. nauczycieli pedofilów, jest nie do zaakceptowania. I takie myślenie staje się coraz powszechniejsze.

Sprawy kobiet i rozdział Kościoła od państwa to tematy ogólne. Pani ubiega się o mandat z Warmii i Mazur. Mieszkańcy tego regionu mają inne problemy niż mieszkańcy Warszawy.

– Nie mogę z panem się zgodzić. Od siedmiu lat bardzo dużo jeżdżę po Polsce jako działaczka Strajku Kobiet, jako organizatorka różnych akcji związanych ze Stowarzyszeniem Kongres Świeckości. Poznałam naprawdę setki osób, które są zaangażowane w akcje obywatelskie. Mówią mi wprost, że na ich terenach ludzie obserwują to samo, rozmawiają o tym samym, co w stolicy. Czy w Olsztynie lub Ełku prawa kobiet są łamane w mniejszym stopniu niż w Warszawie? Czy Kościół ma mniejszy wpływ na tamtejsze społeczności? Oczywiście Warmia i Mazury to nie tylko większe miasta, ale i obszary wiejskie. Proszę mi wierzyć, że żyją tam ludzie, wśród których także zachodzą, choć może nieco wolniej, procesy społeczne będące przedmiotem mojego zainteresowania.

Wielu ludzi z Warmii i Mazur mówi, że jestem im ogromnie potrzebna. Oni chcą rozmawiać na temat rozdziału Kościoła od państwa czy praw kobiet.

Na wsiach Kościół ma większe wpływy niż w miastach.

– Co jest również konsekwencją tego, że społeczności wiejskie są zamknięte i Kościół jest w nich jedyną przestrzenią wspólną. W sytuacji, gdy państwo zupełnie skapitulowało w kwestii kultury, oferty kulturalnej na terenach nieurbanizowanych, zamykając domy kultury i biblioteki, kościoły często stanowią jedyną przestrzeń, gdzie można cokolwiek zrobić



wspólnie. Nieraz mówię, że na wsiach księży często odgrywają bardzo pozytywną rolę, co w moich ustach może się wydawać dziwne, ale ja naprawdę nie jestem wrogiem duchownych, bo wiem, że wielu z nich robi dobrą robotę i są za to szanowani.

Tym trudniej będzie pani przekonać do siebie elektorat małomiasteczkowy, wiejski.

– W mniejszych miejscowościach, takich jak Węgorzewo czy Kętrzyn, a i na wsi, poziom zastraszenia społeczeństwa przez ostatnie osiem lat ogromnie się zwiększył. Odczuwalna jest tam polityka prowadzona przez prawicę, polegająca na tępieniu wszelkiej różnorodności. Rozjeżdżaniu każdego, kto nie jest wyznawcą

katolicko-narodowej retoryki. Zaszczuwaniu tych, którzy w jakikolwiek sposób odstają od wzorca społecznego uznanego i narzucanego przez władzę. I dlatego tak wielu ludzi z Warmii i Mazur mówi, że jestem im ogromnie potrzebna. Oni chcą rozmawiać na temat rozdziału Kościoła od państwa czy praw kobiet. Nie przechodzą obok mojego obwoźnego, mobilnego namiotu, który jest swoistym transparentem głoszącym postulaty

Bożena Przyłuska jest mocno zaangażowana w kampanię społeczną „Świeckie państwo”. A teraz w organizowaną przez Stowarzyszenie Kongres Świeckości akcją zbierania podpisów pod apelem do Sejmu w sprawie rozdziału Kościoła od państwa. Apel można podpisać na stronie internetowej: naszademokracja.pl.

świeckiego państwa, pełni praw kobiet, pełni praw LGBT+, zakończenia wikłania polityków we wzmacnianie pozycji Kościoła.

Opozycja zarzuca rządzącym, że w referendum zadają pytania, które niespecjalnie zajmują Polaków, bo tych interesuje drożyzna, inflacja, zdrowie itp. Nie obawia się pani podobnego zarzutu, że mówi pani o czymś, o czym oni na bieżąco, na co dzień nie dyskutują?

– Nie! Ostatnio byłam w Olsztynie, gdzie przez osiem godzin zebrałam aż 440 podpisów pod apelem o świeckie państwo. Może w mniejszych miastach jest mniejsze zainteresowanie tą tematyką, ale jest. Naprawdę prawa kobiet i świeckie państwo budzą zainteresowanie. Wielu politykom się wydaje, że te kwestie ludzi nie obchodzą, a liczy się jedynie cena masła. Polacy naprawdę nie są tak głupi, by nie wiedzieć, skąd ona się bierze i że ma to związek z tym, co robi rząd do spółki

z prezesem Glapińskim. Że nieuzasadnione podnoszenie, a w zasadzie zawyżanie cen paliw przez Orlen Obajtką zwiększyło inflację. Z badań społecznych wcale nie wynika, że poziom laicyzacji w małych miastach jest niższy niż w metropoliach. Owszem, Polacy w małych miastach i na wsi licznie uczestniczą w życiu Kościoła, ale często wynika to z tradycji albo z chęci niezrobienia przykrości rodzinie. Ale jak widzą, co wielu księży robi, jak często to, co głoszą, rozmija się z tym, jak postępują na co dzień, jaki nieformalny wpływ mają na władze lokalne i podejmowane przez nie decyzje, to też oczekują świeckiego państwa.

Dzisiejsza lewica jest bardziej obyczajowa, świeatopoglądowa, ale przecież u niej na pierwszym miejscu powinna być bardziej tematyka propracownicza, prospołeczna.

– Ależ to nie ulega wątpliwości! Sprawy propracownicze i prospołeczne uważam za jedne z najważniejszych, a właściwie najważniejsze dla lewicy. Weźmy regulacje prawne dotyczące zatrudnienia. Umowy o pracę, podlegające Kodeksowi pracy, coraz częściej są zastępowane umowami cywilnoprawnymi, które w jawny sposób łamią ów kodeks. A właściwie są sposobem, jak go omijają. GUS prowadzi statystykę umów o pracę, ale już nie analizuje takich przypadków jak ten, o którym powiedział mi młody człowiek w Giżycku, który dołączył do naszej akcji „Świeckie państwo”. Jest absolwentem gastronomicznej szkoły zawodowej i pracuje w barze. Zamiast normalnej umowy musiał podpisać... umowę o warsztat, z której zapisów wynika, że ma obowiązek pracować sześć dni w tygodniu co najmniej osiem godzin dziennie. Co najmniej osiem! Jak słucha się takich rzeczy, to nóż w kieszeni się otwiera. Takie draństwo spowoduje, że młodzi ludzie w wieku moich dzieci, a te mają 21 i 23 lata, w bardzo dużej części wyjadą z Polski i nie będą chcieli tutaj zostać. My, Polacy, zapłaciliśmy za edukację tych młodych ludzi, patrząc na to nieco cynicznie, zainwestowaliśmy pieniądze w ich edukację. A robimy wszystko, żeby nie chcieli tu zostać.

Co spowodowało, że zaangażowała się pani w działalność polityczną, choć nie należy do żadnej partii?

– Jestem osobą bezpartyjną, ale zapisałam się do lewicy. Natychmiast. Gdyby była jedna partia lewicowa, a nie trzy. Początki mojej działalności publicznej są związane z zaangażowaniem się w świecką szkołę ze względu na moje dzieci, które były dyskryminowane. Wcześniej, w przedszkolu, podczas zajęć z religii siedziały w tej samej sali w kącie, były traktowane jak jakiś obcy element. Nie było żadnej propozycji dla dzieci, które nie uczestniczą w zajęciach z katechetą. Zawsze miałam lewicowe poglądy, nigdy nie było mi obojętne to, co się dzieje w moim kraju. Teraz, gdy widzę, co PiS do spółki z Ziobrą

Nasze prawa zostały sprzedane Kościołowi w zamian za poparcie 10 tys. ambon, z których księża grzmieli, na kogo głosować.

robią z moją ojczyzną, jak mogę siedzieć cicho? Może nie zdobędę mandatu posłanki, ale walczę i będę walczyć o sprawy mi bliskie.

Gdy wpisuje się pani nazwisko w internecie, to w rubryce zawodów pojawia się: przedsiębiorczyni. Może pani to rozszyfrować?

– W 2011 r. założyłam firmę, która zajmowała się produkcją gadżetów inspirowanych Warszawą. Sama je projektowałam, robiłam i – tu się pochwalę – dostawałam za nie nagrody w różnych konkursach. Odkąd zaangażowałam się w działalność na rzecz kobiet i świeckości państwa, moja aktywność na polu przedsiębiorczości słabła. W zeszłym roku zawiesiłam firmę, tak że utrzymanie rodziny spadło na męża. W tej chwili mam do wyboru dwie drogi. Albo na całego zaangażuję się politycznie, co nie jest wykluczone, tym bardziej gdybym została posłanką, albo wrócić do biznesu, ale już nie do tego, co robiłam, tylko do czegoś, co będzie dotyczyło Warmii.

A skąd się wzięła ta Warmia w pani życiu?

– Warmię pokochałam już dawno, jest takim miejscem, które mnie nieustająco zachwyca, ze względu na przyrodę, na widoki, ukształtowanie

terenu i architekturę, która jej nie niszczy. Nawet nowe rzeczy, które tam powstają, z reguły trzymają styl i nie psują krajobrazu. A to nie jest takie oczywiste, gdy porówna się z tym, co się dzieje w innych rejonach Polski.

Warmia i Mazury to nie tylko przyroda, ale i ludzie. Spotyka ich pani coraz częściej, coraz lepiej ich poznaje.

– I ich historię. Tych, których przodkowie trwali w polskości, i tych, którzy byli osadnikami po wojnie. Gdy się słucha tych ludzi, ich opowieści o czasach odległych i o zdarzeniach sprzed kilkunastu czy kilku lat, lepiej można ich zrozumieć, docenić ich wkład w rozwój tych ziem. Dlatego nie ma mojej zgody, by o tym, jaka ma być historia tych rejonów,

tutejszych mieszkańców, jakie mogą stać tutaj pomniki, arbitralnie decydował Instytut Pamięci Narodowej. O tym mają prawo decydować jedynie mieszkańcy tych terenów, bo to oni najlepiej wiedzą, jak było w przeszłości. I że nie wolno, postępując się nią, dzielić Polaków.

A co będzie, jeśli nie dostanie się pani do Sejmu?

– Może tak być, choć robię, co mogę, by zostać posłanką. W tym dziele pomaga mi coraz więcej Warmiaków i Mazurków. Jedno jest pewne: nie zrezygnuję z publicznej działalności, nie zaprzestaną walki o prawa kobiet i świeckie państwo. Będę walczyć o świecką szkołę, występować przeciwko edukacji w wydaniu Czarnka, bo na tych sprawach znam się najlepiej. Nie przestanę walczyć o kulturę, ale nie taką na modłę ministra Głińskiego, tylko taką, w której decydujące słowo należy do twórców, nie urzędników. Słowem, będę walczyć, by Polska była dla wszystkich Polek i Polaków, a nie dla pisowskiej wierzuszki, której się wydaje, że najlepiej wie, w jakim kraju chcą żyć moje rodaczki i moi rodacy.

Paweł Dybicz

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl